

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

• Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.
1/2 " — 40 "
1/4 " — 20 "
1/8 " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Przeszłość i przyszłość.

Kiedy ważyły się losy Litwy Środkowej a w Brukseli przedstawiciele Litwy i Polski wysilali się nad argumentacją, uzasadniającą prawa każdego z tych państw do wyłącznego posiadania Wilna, jednocześnie tu w kraju w prasie, na zebraniach i wiecach toczyła się gorąca dyskusja na temat projektów Hymansa, który z Litwy chciał stworzyć drugą Belgję.

Przeciwko tym pomysłom opowiedziała się stanowczo większość opinii polskiej, zasugerowanej perspektywą „zjednoczenia Wileńszczyzny ze swą Macierzą”, jak powszechnie a bezkrytycznie powtarzano wówczas, a niemniej kategorycznie również większość opinii litewskiej, utrzymywanej w przeświadczeniu, że Europa uzna w całej pełni pretensje Litwy do swej stolicy historycznej.

Nieliczna zaledwie garstka trzeźwo patrzących na rzeczy polityków i publicystów, upatrywała w projekcie Hymansa, mimo wszystkich jego braków i wad, podstawę do dalszych rokowań i kompromisowego rozstrzygnięcia zatargu.

Zwyciężyły żywy nieprzejednane.

Projekt Hymansa został odrzucony a limine przez obie strony, a Polska, opierając się na fakcie dokonanym, uzyskała od czynników decydujących wówczas o losach Europy, potwierdzenie swych praw do Wilna i Wileńszczyzny.

Dużo wody upłynęło od tej chwili i dużo się zmieniło w poglądach i nastrojach zarówno zawiedzionego w swych oczekiwaniach społeczeństwa litewskiego, jak i upojonego pozornym triumfem społeczeństwa polskiego.

Nieznośna, deprymująca sytuacja, jaka się wytworzyła w konsekwencji „wcielenia bez zastrzeżeń” i szczelnej izolacji między Polską a Litwą, dotkliwie dała się we znaki obu stronom. Jak w każdej cho-

robie chronicznej oba organizmy dotknięte wspólnym niedomaganiem, starają się przystosować do warunków nienormalnych i dzięki swej żywotności nie odniosły nawet znaczniejszej szkody, ale ileż zasobów i sił, które mogłyby się przyczynić do wspólnego rozwoju, zostało zmarnowanych, bo użytych jedynie na walkę o utrzymanie się przy życiu.

I jeżeli chodzi o Wileńszczyznę, czy można to nazwać życiem? Marna, beznadziejna vegetacja...

To też po obu stronach „linji administracyjnej” coraz głębiej i szerzej przenika zrozumienie absurdalności obecnego stanu rzeczy. W rozmowach prywatnych coraz częściej się słyszy głosy o potrzebie znalezienia jakiegoś wyjścia z głuchego zaułka. Psychologiczne możliwości dla szukania porozumienia, których nie widać było w czasach, gdy był aktualny projekt Hymansa, istnieją już niewątpliwie. Brak jedynie drugiego takiego projektu, któryby mógł stanowić punkt wyjścia dla wznowienia rokowań i któryby zruszył sprawę z martwego punktu.

Ze względów natury formalnej niema co oczekiwać podobnego kroku ze strony czynników międzynarodowych, również nie zdobędzie się nań żaden z rządów zainteresowanych. Z inicjatywą więc muszą wystąpić siły społeczne.

Rządy polski i litewski kilkakrotnie w ciągu ostatnich lat prowadziły pertraktacje i brały udział we wspólnych konferencjach — jak wiadomo bez rezultatu. Społeczeństwa zaś oddawna już przestały ze sobą rozmawiać. Wielki czas odnowić dawną znajomość. Uroczystości Witoldowskie dają po temu doskonałą sposobność.

Wspólna myśl o przyszłości byłaby stokroć piękniejszym uczczeniem pamięci Witolda Wielkiego, niż wszelkie obchody i wspomnienia wspólnej przeszłości tyłko.

Niekonsekwencja.

Bardzo mało wiemy naogół o stosunkach w szkolnictwie powszechnym, o pracy u nas nauczyciela ludowego. Wskutek napływu elementu obcego w tej dziedzinie przyzwyczailiśmy się traktować ją jako plagę nie tyle egipską, ile galicyjską, jako zło nieuniknione, jako dopust Boży. Wobec wybitnie biurokratycznego charakteru u nas całego szkolnictwa państwowego, wobec braku rad szkolnych, gdzieindziej mających duży wpływ w zakresie nauczania powszechnego, społeczeństwo miejscowe mało się interesuje sprawą oświaty na wsi, zapatrując się na nią wyłącznie jako na jeden z działów administracji. Jeszcze jedna „kazionszczyzna” i koniec na tem!

Jednakże nauczycielstwo polskie nie jest podobne do dawnego rosyjskiego. Pomijając już wyższy poziom intelektualny, cechuje je również większe znacznie uspołecznienie. O tem świadczy zorganizowanie się całego bodaj zespołu pedagogicznego w dwa związki zawodowe: „Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych”, liczący na terenie Kuratorjum wileńskiego około 2800 członków oraz w „Stowarzyszenie Chrześcijańsko-Narodowego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych”, o wiele mniej popularne, bo skupiające zaledwie około 250 członków. Ideologia tej drugiej organizacji, jak sama nazwa wskazuje, jest wyraźnie endecka i przez to samo już nie nasuwa żadnych wątpliwości. O wiele większe zaciekawienie budzi „Związek”, chociażby dlatego, że należy doń olbrzymia większość nauczycielstwa i że stanowi on poważną siłę na terenie całego państwa, z którą liczą się poważnie władze i która niewątpliwie wywiera znaczny wpływ na kierunek nauczania. Jakie prądy w niem nurtują, jakie ma on cele i zadania, jakie jest jego zabarwienie społeczno-polityczne?

Pomijamy tu zarzuty braku religijności, z którymi tak często pod adresem „Związku” występuje „Dziennik Wil.”. Jest to utarta metoda endecji zwalczania każdego przeciwnika za pomocą naklejania nań etykiety „masońskiej” lub „bolszewickiej”. Wszakże

nawet w działalności Białoruskiej Chrześc. Demokracji potrafiono dopatrzeć się pierwiastków bolszewizmu, znamy więc dobrze wartość tego rodzaju krytyki. Intéresuje nas co innego: jak mianowicie przeciętny nauczyciel ludowy, czerpiący wskazówki z dyrektyw „Związku” pojmuje swe zadanie pedagoga w naszym kraju, wśród ludności etnicznie niejednolitej, jak się zapatruje na zagadnienie narodowościowe?

Dają o tem dostateczne pojęcie „Sprawy Nauczycielskie”, organ wileńskiego okręgu „Związku”, wychodzący co miesiąc w Wilnie. Myliłby się ten, kto by sądził, na podstawie rozpowszechnionej opinii o napływowym nauczycielstwie galicyjskim, iż kwestja odrębnego charakteru ziem litewsko-białoruskich nie jest tam brana pod uwagę, że sprawy szkolnictwa są tam traktowane szablonowo, że nie są tam uwzględniane specjalne właściwości naszego terenu.

Przeciwnie obszerny i wyczerpujący artykuł, ciągnący się aż przez trzy kolejne zeszyty Wacława Borowskiego p. t. „Regionalizm pedagogiczny na Wileńszczyźnie” świadczy wyraźnie, że jednostki światlejsze i odgrywające rolę kierowniczą wśród nauczycielstwa miejscowego zdają sobie doskonale sprawę z odrębnych warunków pracy oświatowej w naszym kraju.

Zastanawiając się nad istotą „regionalizmu” wogóle, a w Wileńszczyźnie w szczególności p. Borowski zaznacza z głębokim przekonaniem: „Kwestja mniejszości narodowych, mająca w swych konsekwencjach ogromne znaczenie dla Polski winna być jaknajpoważniej przemyślana i konsekwentnie rozwiązywana w praktyce przez polityków, działaczy społecznych, urzędników, nauczycieli. Trudno zdawałoby się wyobrazić sobie poważnego, z poświęceniem pełniącego swe zadanie wychowawcy narodu, nauczyciela, któryby się głęboko nie zastanawiał nad tem doniosłym zagadnieniem i nie miał wytkniętej linii wytycznej”.

Zagadnienie to autor rozwiązuje w dość oryginalny, cprawda, sposób. Opowiedziawszy się stanowczo przeciwko zasadzie samookreślenia narodów, jako jego zdaniem niesprawiedliwej w tych wypad-

V. KRÉVĚ.

ŚLEDZIE.

Przełożył z litewskiego W. Zaleski,

II.

Przyśniło się Marceli, że trafiła do nieba. Było tam ślicznie, jak w kościele Ciwoszuńskim. Wszędzie palą się świece; sam Pan Bóg, siwy, o długiej, brodzie, siedzi wysoko na ołtarzu, a naokoło Niego pełno aniołków: jedni mali, jak na obrazie Najświętszej Pani w Merieczu, latają wesoło dookoła Pana Boga, a drudzy — wielcy, o długich skrzydłach na ramionach, klęczą przy ołtarzu ze złożonymi rękami, niczem młodzi księżulki, lub klerycy i chwała Pana Boga.

Całe niebo pełne umarłych; z tych, którzy jeszcze żyją, Marcela nie zobaczyła ani jednego. Aż straszno się jej zrobiło i pomyślała, czy aby i ona nie umarła, że trafiła do nieba. Tylko nie mogła sobie przypomnieć, kiedy to ona umarła. Nie danem było jej długo myśleć, bo przez maleńkie drzwiczki, koło których stała, poczęło wciąż więcej i więcej przyby-

wać umarłych do nieba, aż ją zepchnęli do kąta i tam przycisnęli do ściany. Naszło do nieba umarłych, niczem ludzi do kościoła na św. Rocha w Merieczu. Wszyscy mieli bardzo ładne ubrania, jakgdyby dopiero co byli pochowani. Dużo tam było mężczyzn, kobiet, panów, księży i prostego narodu.

Państwo siedzieli za kratkami, bliżej Pana Boga; widząc to Marcela aż westchnęła:

— Jezu, to państwu i tu lepiej.

I oto Marcela zobaczyła dużo swych znajomych; jedni z nich już od dawna nie żyli, drudzy dopiero od zeszłego roku. Tu był Łukaszunas Piotr, jej chrestny ojciec, u którego ona pięć lat służyła jako pastuszka, potem jako najemnica. Zobaczyła i Wakszysową, swoją chrestną matkę, która, gdy Marcela szła do pierwszej spowiedzi, podarowała jej była jedwabną chusteczkę. Chusteczka cprawda była już nie nowa, nawet mała dziurka świeciła się pośrodku, lecz Marcela i teraz jeszcze ją nosi, gdy idzie gdzieś na większy odpust. Było też wielu innych, których Marcela ledwie mogła sobie przypomnieć.

Stoi Marcelka przy drzwiach, koło ściany, i ogląda się. Widzi, że tam koło krutek klęczą i jej stara matula. Poczuła ona, że tak się stęskniła do swej

kach, gdy „mały naród przez oderwanie się gubi większy naród o wielkich zasługach wobec kultury”, p. Borowski równie kategorycznie potępia metodę wynarodowiania. Jest on zwolennikiem drogi kompromisowej, którą możnaby tak określić: wspólna państwowość i zgodne współżycie z mniejszościami narodowymi na podstawie poszanowania ich języka i kultury.

Zgodnie z tem założeniem p. Borowski wśród mniejszości narodowych rozróżnia dwa elementy: partje polityczne, których działalność separatystyczna przejmuje go zgrozą oraz lud, który ma nadzieję ochronić przed zgubnymi wpływami polityków separatystycznych.

Nie lekceważy jednak bynajmniej nasuwających się przytem trudności: „historyczna tradycja łączności z Polską została zerwana, mocniejsza jest tradycja łączności z Rosją i ta tradycja ostatnio otrzymała nową podniecie w formie wspomnienia krótkich chwil „raju na ziemi” swobody bolszewickiej, bez przeżycia prawdziwego komunizmu, z jego zasadą kolektywizacji ziemi, tak obcej ludności. Niechęć w stosunku do Polski pogłębia walka klasowa i Polska identyfikuje się z obszarnikiem. Niechęć tę spotęgowały też wady naszej administracji. Z wielkim bólem należy stwierdzić, że do wytworzenia tej niechęci przyczynił się i niejeden nauczyciel. Te i inne czynniki wpłynęły na wytworzenie na wsi nastroju wrogiego względem państwowości polskiej. Włościanin zamknął się w sobie i czeka..”

Trudności powyższe nie przerażają jednakże i nie zniechęcają pełnego zapału oświatowca. Ma on nadzieję, że potrafi zmienić tę psychikę chłopów miejscowego. Przedewszystkiem w tym celu uważa on za niezbędne rozwinięcie w włościaninie poczucia wartości osobistej. „Tylko wtedy poczuje się on obywatelem państwa, gdy nie będzie uważał siebie za element gnębiony, poniewierany”. Stosunek więc nauczyciela do ludności nie może być pełen śmiesznej pyszałkowatości. „Pracę nad włościaninem należy rozpocząć nie od popularnych odczytów o bogactwach Polski, deklamacyj na temat patriotyzmu i podobnych naiwnych środków. Włościanin białoruski jest zbyt

trzeźwy, a też za mało entuzjasmujący się, aby go można było tą drogą pociągnąć. Należy go wciągnąć w życie społeczno-ekonomiczne okolicy, dać poznać wartość rozmaitych organizacyj natury praktycznej, na terenie gminy. Niech włościanin głęboko się zżyje z życiem społecznym swej wsi, swej gminy, niech poczuje się obywatelem gminy, powiatu. A stąd już krok nie tak duży w kierunku wyrobienia patriotyzmu państwowego, *nie polskiego narodowego patriotyzmu, a podkreślam, państwowego patriotyzmu*”.

Jak widzimy, p. Borowski bardzo trzeźwo się zapatruje na lud miejscowy i daleki jest od poczytywania go, wzorem wielu warszawskich publicystów, za ostoję odwiecznie polskiego charakteru Wileńszczyzny. Jeszcze bardziej ta trzeźwość uwydatnia się we wskazówkach, jakich p. Borowski udziela omawiając program nauczania w szkołach powszechnych.

„Nauczanie języka polskiego—pisze—wymaga gruntownych zmian. Wychodząc stąd, że nauczanie tego języka na kresach odbywa się *przeważnie* dla dzieci, mówiących w domu innym językiem, że język ten dzieci często dopiero w szkole poznają, należy metodę nauczania języka polskiego zbliżyć do metody nauczania języka obcego... Przy nauczaniu gramatyki i ortografji należy często odwoływać się do języka białoruskiego. Wzbudza to duże zainteresowanie u dzieci i daje często praktyczne korzyści. Wogóle nie należy obawiać się używania w szkole z językiem wykładowym polskim w miarę potrzeby języka białoruskiego.. *W każdym razie nauczyciel powinien dobrze znać język miejscowy*”.

Nauczanie historii winno też ulec zmianie. „Daleko większy wpływ na wyrobienie uczuć państwowych wywrze rozpoczęcie nauczania od retrospektywnego wejrzenia w głąb dziejów, wychodząc z danej okolicy. Młodzież pozna, że kraj nasz jeszcze niedawno był częścią potężnego państwa polskiego. To daleko więcej przemówi do serc młodzieży, niż dzieje dla dzieci białoruskich całkiem obcej ziemi nad Gopłem.. Historję polityczną Polski należy obszernie przerobić od Jagiellonów, traktując historję poprzedniej epoki przeważnie jako historję kultury. Przy nauczaniu historii trzeba stale pamiętać, że się ma do

matuli, tak się stęskniła, aż serce ścisnęło jak obcęgami. Nagada się teraz z nią, naopowiada swej matuli i wypowie wszystkie swoje biedy tak, jak bywało, kiedy matula jeszcze żywą była i co święto do niej przychodziła.

Na nic nie zwracając uwagi przebija się Marcela przez tłum tam, gdzie matula klęczy, robi sobie drogę łokciami i bokami, jak tylko może; tamtego przycisnęła, temu na nogę nastąpiła; aż krzywią się na nią dusze i złością. Ale ona na nic nie zważa i śpieszy dalej.

Gdy tak się precisnęła aż do środka nieba, prawie aż do tego miejsca, gdzie klęczała matula, zastąpił jej drogę anioł. Był on biało ubrany; przez ramię miał przepasaną czerwoną wstęgę ze złotymi błyskotkami, a w rękę trzymał dużą złotą laskę.

— Czego się ciśniesz i przeszkadzasz duszyczkom chwalić Pana Boga! — krzyknął on na Marcelę. Zmierzywszy ją wzrokiem od stóp do głowy, dodał: — Przyszedł tu zabrudzona i plamisz białe odzienie duszyczek.

Spojrzała na siebie Marcela i widzi, że ona naprawdę zabrudzona, ubrana w codzienną sukienkę, koszula może już ze dwa tygodnie niezmienniana. Za-

wstydziała się Marcela, przeleżała się i oczy na dół spuściła. A spojrzenie anioła staje się wciąż sroższe i sroższe.

— Czego przyniosłaś śledzie do domu Bożego? — pyta anioł: — czy poto aby smród uczynić? Daj śledzie, trzeba je wyrzucić.

Patrzy Marcela, że naprawdę trzyma w rękach śledzie, te same, które wyciągnęła z ceberka Kuszlusa. Jak ona je wzięła i jak je tu przyniosła — sama nie wie. Przypomniała sobie, że już je zjadła, i jeszcze bardziej się przestraszyła. Teraz poczuła Marcelka, że ze śledzi po palcach ścieka na sukienkę płyn. Anioł zawołał małego aniołka i rzekł:

— Weź od niej śledzie i wyrzuć. W niebie je się i pije nie to, co na ziemi.

Mały aniołek już wyciągnął rękę, by wziąć od niej śledzie, gdy wtem za drzwiami nieba rozległ się złowrogi głos:

— Oddajcie mi moje śledzie! To moje śledzie, które ona mi ukradła!

Marcela poznała głos Kuszlusa i jeszcze bardziej się przestraszyła. Zobaczyła, że wszystkie duszyczki od niej odstępowały i że Pan Bóg, który siedział wysoko, aż czoło zmarszczył. Marcela naprawdę

czynienia z dziećmi nie polskimi, że w domu najczęściej słyszą słowa niechęci w stosunku do władz miejscowych polskich, a prawie nigdy nie wyniosą zasad państwowości i patriotyzmu. Naiwny więc jest ten nauczyciel, który od razu wpada w wysoki ton patriotyzmu, słowa jego przechodzą mimo uszu”...

W tem miejscu mimowoli nasuwa się pytanie, czy p. Borowskiemu nigdy nie przyszło na myśl, że „retrospektywne wejrzenie w głąb dziejów, wychodząc z danej okolicy”, — o ile będzie bezstronne i sprawiedliwe — nauczy młodzież szkolną przedewszystkiem tego, iż kraj nasz przedtem, nim się stał częścią potężnego państwa polskiego, wchodził w skład niemniej potężnego W. Ks. Litewskiego?

Ale nie mamy zamiaru prowadzić z p. Borowskim dyskusji na temat metodyki pedagogicznej. Przytoczyliśmy dłuższe ustępy z jego artykułu dla scharakteryzowania poziomu umysłowego i nastawienia ideowego kierowników „Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych”. Należy przyznać, że i jedno i drugie nie zasługują na traktowanie lekceważące. Przeciwnie należy podkreślić z całym naciskiem trafność i bezstronność obserwacji oraz względnie głębokie przemyślenie zagadnień oświatowych na naszym gruncie.

Jedno tylko wydaje się niezmiernie dziwnem: skoro p. Borowski deklaruje się jako przeciwnik polityki wynarodawiania i asymilacji, skoro z drugiej strony stwierdza, że większość dzieci wstępując do szkoły nie zna języka polskiego i że nauczyciel, aby mógł spełnić swe zadanie sumienne, musi posługiwać się językiem miejscowym, to jakże mógł pominąć w swych rozumowaniach zasadniczą kwestję potrzeby i celowości szkoły z językiem wykładowym polskim? Czyż nie powinien był logicznie rozumując, dojść do wniosku, że dla ludności białoruskiej i litewskiej najracjonalniejszą jest szkoła z językiem wykładowym białoruskim lub litewskim? Nie trzeba nawet być separatystą, można być zdecydowanym państwotwórcą polskim, a jednakże postawić kropkę nad *i* i stwierdzić wyraźnie, że szkoła polska jest niewątpliwie środkiem wynarodawiającym.

Ā p. Borowski i — jak wolno przypuszczać — redakcja „Spraw Nauczycielskich” nie pochwalają zakusów asymilacyjnych, chcą tylko budzić poczucie państwowe. Gdzież więc konsekwencją?

Obserwator.

W otwarte karty.

Kiedy powstawał przed kilku laty w Warszawie Instytut Badań Spraw Narodowościowych, organizatorzy jego zapewniali uroczyście, że nie ma on służyć żadnym celom politycznym. Organ tej instytucji „Sprawy Narodowościowe” podkreślał z naciskiem: „Chcemy dawać opinii polskiej — materiał bezstronny. Nie podsuwamy rozwiązań, nie myślimy o żadnej doktrynie. Pragniemy jednego: ażeby pismo nasze mogło stać się użytecznym *wyznawcom wszystkich istniejących w tej dziedzinie obozów*. Pragniemy jednego: zgodnie z naszym sumieniem służyć bezstronnie prawdzie”.

Zgodnie z powyższą zapowiedzią prezes Instytutu p. St. Thugutt na zebraniu organizacyjnym sekcji litewsko-białoruskiej w Wilnie zapraszał nawet gorąco obecnych przedstawicieli Litwinów i Białorusinów do współpracy wskazując na apolityczny charakter Instytutu.

Ci jednakże odnieśli się do zapewnień p. prezesa z pewnym sceptycyzmem, który, jak się okazało z biegiem czasu, był całkowicie uzasadniony.

Swój obiektywizm „Sprawy Narodowościowe” ograniczyły jedynie do rubryki kronikarskiej, w której podają informacje o życiu mniejszości narodowych w Polsce bez żadnych komentarzy redakcyjnych, natomiast w artykułach niedwuznacznie ujawniła się *tendencja*. Tego rodzaju opracowania, jak S. Gorzuchowski: „Ludność litewska na kresach Państwa Polskiego” a zwłaszcza dr. A. Krysińskiego: „Liczba i rozmieszczenie ludności polskiej na Kresach Wschodnich”, w żaden sposób nie mogą być uważane za próbę odtworzenia prawdziwego stanu

bała się spojrzeć na niego, lecz zerknawszy ukradkiem zobaczyła dobrze, że jest On gniewny. A ten łotr Kuzlus wciąż drze się za drzwiami. Wyrwie ona jemu brodę, albo poprosi pastucha, by mu baka wpuścił. Bo czyż nie warto? Jeżeli już się dowiedział, to trzeba było gdzieindziej jej to powiedzieć, bez świadków, i zażądać zapłaty, a nie tu, w niebie, przy aniołach i Panu Bogu.

— Czy to i w niebie niema sprawiedliwości, że mnie śledzi nie oddają?! I tu biednego żydka krzywdzą? — nie przestaje zawodzić Kuzlus.

— To ty nakradłaś się śledzi i do nieba przysłała? Do domu Bożego przyniosłaś kradzione rzeczy? — pyta anioł, a Marcela milczy, jakgdyby język połknęła; tak bardzo się przelękała.

— To tak, a ty jeszcze milczysz, więc pójdziemy do Pana Boga, niech On ciebie ukarze, jak na to zasłużyłaś.

Wziął ją anioł za rękę i prowadzi przez cały kościół ku ołtarzowi, prosto do tronu Boga. Marcelce taki wstyd, że, zda się, gdyby mogła, w ziemię by się zapadła. A wszyscy ustępują z drogi, jakgdyby ona była parchami zarażona i patrzą z pogardą.

— Złodziejka! śledzie ukradła żydowi... — słyszy Marcela idąc.

To duszyczki czynią głośno uwagi. Najciężej było Marcelce, gdy ją anioł prowadził koło tego miejsca, gdzie matula klęczała. Chociaż Marcela oczu nie podniosła, jednak poczuła, że matula patrzy na nią z żalem. Odczuła to Marcela boleśnie i zacerwieśniła się; a może jej tylko tak się zdawało.

— Ty ukradłaś śledzie Kuzlusowi? — spytał Pan Bóg, gdy Marcela podeszła do Jego tronu i ukłękła. Marcela milczy jak niemowa, tylko ręką oczy zakryła i drży, jak liść osiny.

Pań Bóg nic nie mówi, bo czeka, co powie Marcela. Nie doczekawszy się odpowiedzi wydaje rozkaz aniołowi.

— Prowadźcie ją do piekła i oddajcie diabłom, niechaj męczą ją przez wieki wieków.

Jak tylko Pan Bóg to powiedział, natychmiast przyskoczył anioł i Marcela ani się obejrzała, jak ją wypchnął z nieba i drzwi z nią zamknął.

Za drzwiami nieba było ciemno, ponuro i strasznie. Za ledwie drzwi się zamknęły, jak ją ze wszystkich stron otoczyli diabli. Mieli oni rogi, ogony, z ust im ogień buchał, jak z pieca; sam najstraszniejszy

rzeczy, lecz są utworami publicystycznymi, ubranymi wprawdzie w szatę pseudo-naukową, lecz przeznaczonymi wyłącznie do udowodnienia tezy, że ziemie litewskie, białoruskie i ukraińskie są zamieszkałe przez 3 i pół miliona Polaków (!) i tem się tylko różnią od rdzennej Polski, że prócz ludności polskiej zamieszkują je w większych lub mniejszych skupieniach inne narodowości...

Ze taki a nie inny cel właśnie mają wszystkie te wywody, świadczy o tem artykuł, podpisany literami I. S., zamieszczony w Nr. 17 (z d. 27 kwietnia b. r.) tygodnika „Przełom”, wyrażającego poglądy kół t. zw. „naprawiaczy”. Artykuł ten jest odpowiedzią na mój artykuł p. t. „Przelewianie z pustego w próżne” w Nr. 1 „Przełomu Wil.” i bierze w obronę Instytut Badań Spraw Narodowościowych wogóle a obliczenia dr. Krysińskiego w szczególności. Autor jego z całą otwartością wyznaje, że chociaż moje uwagi co do niedokładności urzędowych danych statystycznych nie są pozbawione słuszności, jednakże nie można zrezygnować z dociekań demograficznych, a to z tego powodu, iż w całym świecie rozpowszechniane są z niesłabnącą energją „wydawnictwa propagandowe, mające na celu obniżenie powagi i znaczenia Polski przez fałszywe informowanie opinii publicznej zagranicą o składzie narodowościowym ludności Państwa Polskiego”.

Innymi słowami tendencyjnej propagandzie antypolskiej należy przeciwstawić tendencyjną propagandę na korzyść polskiego stanu posiadania. Z politycznego punktu widzenia dążenie to jest zupełnie zrozumiałe i nikt nie może się dziwić, że tego rodzaju wysiłki są podejmowane przez czynniki polityczne. Tylko, że podobne zadania nie mają nic wspólnego z badaniami naukowymi i szukaniem prawdy, na co właśnie zwracałem uwagę.

Gdyby chodziło naprawdę o poznanie istotnego stanu rzeczy, to ani „Sprawy Narodowościowe”, ani przemawiający niejako w ich imieniu p. I. S. nie potraktowałyby tak lekko zagadnienia „tutejszości”, które ma pierwszorzędne znaczenie dla zrozumienia układu stosunków narodowościowych w naszym kraju ani też nie przeszliby do porządku dziennego nad

wysuniętą przezemnie sprzecznością, jaka często zachodzi na naszym gruncie pomiędzy językiem ludności, a jej etykietą narodowościową.

Zamiast zanalizowania tych zjawisk p. I. S. z całym aplombem zapewnia, że ludność Wileńszczyzny „złożyła tysiączne dowody swego gorącego przywiązania do polskości” i że wobec „jej zdecydowanej woli” ani pochodzenie litewskie, ani mowa białoruska nie mają żadnego znaczenia!

Na czem polegają wspomniane „tysiączne dowody”, tego p. I. S. bliżej nie określa, prawdopodobnie ma na myśli parę tysięcy ochotników, którzy się zgłosili do Lit. Biał. Dywizji i armji gen. Zeligowskiego, ale przyjmując nawet jako bezsporny pewnik, że kierowało nimi wszystkimi bezinteresowne uczucie patryjotyczne, wypadnie stwierdzić tylko, że w Wileńszczyźnie istnieje pewien odsetek ludności, uświadomionej w duchu narodowym polskim. A czyż kto temu przeczy?

Nie będę zatrzymywał się dłużej nad uwagami p. I. S. w sprawie względnej wartości nowego spisu ludności ani też w sprawie metod statystycznych dr. Krysińskiego. Na temat nowego spisu ludności pisaliśmy już parokrotnie obszernie w „Przełomie Wil.”, ale zapewne p. I. S. tych artykułów nie czytał, a do cyfrowych obliczeń nie przywiązują większej wagi wobec nieustalonego dotąd pojęcia narodowości, co jest kwestją pierwszorzędного znaczenia w naszych stosunkach, gdzie czynnik subiektywny, jedynie miarodajny, tak często zawodzi.

Zresztą pana I. S. obchodzi nie tyle kwestja statystyki i badań narodowościowych, ile związany z nią ściśle moment polityczny. Dowodem tego jest fakt, że sporą część swego artykułu p. I. S. poświęca omówieniu zagadnień terytorjalnych atakując namiętnie „Przełom Wileński” za posługiwanie się terminologją „archaiczną”. P. I. S. ma pretensję do nas, że używamy takich nazw, jak „Litwa i Białoruś”, „W. Ks. Litewskie”, „nasz kraj”, zamiast „popularnych i powszechnie używanych określeń”: „Kresy Wschodnie”, „Ziemie Wschodnie”, „Wschodnia Polska” (!) i t. p.

Da liegt der Hund begraben! Oto co boli redak-

już zamierzył się na nią widłami. Widząc to, Marcela schwyciła się za drzwi nieba, wrzasnęła nieswoim głosem i... obudziła się.

Obudziwszy się usiadła Marcela na posłaniu, cała spocona, drżąca, jakgdyby ją febra trzęsła.

Pierwszą jej chęcią było zaraz wyskoczyć z posłania, pobiec do Kuszlusa, przyznać się mu i prosić o przebaczenie. Ale zobaczyła, że na dworze noc, ciemno, a Merecz, gdzie mieszka Kuszlus, daleko; zresztą gdzie go teraz szukać po nocy.

Długo jeszcze siedziała Marcelka na posłaniu z podwiniętymi pod siebie nogami i bojaźliwie patrzyła w okna, czy przez które nie lezie rogaty.

Potem przeżegnała łóżko, ziemię, ściany i wszystkie kąty. Szczególniej zaś żegnała okna i drzwi. Następnie zeskoczyła na ziemię, podeszła do łóżka Gierdwilisowej i, szukając jej spódnicy, poczęła ostrożnie macać dookoła. Znalazła ją, Marcela drżącymi rękoma, bojąc się, aby kto się nie obudził, wyjęła z kieszeni kluczyk od szafki.

Ostrożnie otworzywszy drzwi, aby nie zakrzywiły, wyszła do sieni. Tam, znów jak najostrożniej, często nasłuchując, czy kto się nie obudził, otworzyła szafkę i poomacku poczęła szukać naczynia, w któ-

rem, jak dobrze wiedziała, złożone były jajka.

Znalazła jedno naczynie, wsadziła do niego rękę — mleko, do drugiego — wszystkie palce włożyła do śmietany, a tam znowu natrafiła ręka na krupy. Wreszcie znalazła i jajka. Wyjawszy sześć zamknęła szafkę na klucz, a jajka zakopała do piasku, którym był zawalony od jesieni cały kąt, aby w zimie było czem wysypać zamiecioną chatę.

Schowawszy jajka, z zachowaniem takiej samej ostrożności powróciła Marcela do chaty, położyła kluczyk na miejsce i, położywszy się do łóżka, spokojnie zasnęła.

Następnego ranka dziwiła się Gierdwilisowa, dlaczego drzwiczki szafki, klamka i jej spódnica są całe w mleku. Czyżby ona we śnie chodziła do szafki?

Lecz po obejrzeniu garnków zauważyła, że brakuje jajek i wpadła na pastucha. Ten zaklinał się i twierdził, że nie winien, ale Gierdwilisowa mu nie wierzyła.

Marcela słyszała wszystko i milczała. Co wieczór bada piasek, czy tam leżą jeszcze jajka i z niepokojem oczekuje niedzieli, kiedy będzie mogła zanieść jajka Kuszlusowi i zapłacić za skradzione śledzie.

Wtedy nie będzie się bała, że ją znowu wypędzą z nieba za kradzież!..

torów „Przełomu” i „Spraw Narodowościowych”! Na tym punkcie wszelka polemika jest najzupełniej bezcelowa. Z takimi panami, którzy Litwę i Białoruś uważają za terminy *anachroniczne*, a którzy pragną je zastąpić *nowoczesną* nomenklaturą w rodzaju „Wschodniej Polski” nie mamy oczywiście żadnych punktów stycznych. Jeżeli ten element stanowi uosobienie „ducha polskiego”, to istotnie walczyć z nim wytrwale i walczyć w miarę sił i możliwości z nim nie przestaniemy, a po czyjej stronie będzie zwycięstwo—to pokaże przyszłość.

Mamy wszelkie prawo sądzić, że jednakże „mgławicowa” nasza krajowość odniesie zwycięstwo nad zachłannym i bezwzględny nacjonalizmem „naprawiaczy”, chociażby dlatego, że my operujemy materiałem realnym, a działacze z pod znaku „Przełomu” i „Spraw Narodowościowych”—fikcjami w rodzaju „etnicznie polskiej” Wileńszczyzny...

K. W.

Z mego notatnika.

„Uszczęśliwiacze”.

Obok utartego już terminu „naprawiacze”, który przyjęto stosować do działaczy b. „Straży Kresowej”, Związku Osadników Wojskowych i t. p. organizacyj proponuję nowy termin „uszczęśliwiacze”, któryby miał znaczenie szersze i obejmowałby wszystkich tych, którzy roztaczają opiekę nad nami — mieszkańcami ziem litewskich, białoruskich i ukraińskich, troszcząc się o nasze potrzeby materialne i duchowe.

Takich „uszczęśliwiaczy” jest o wiele więcej, niż to niejednemu może się wydawać. Istnieją instytucje i organizacje, o których mało kto u nas słyszał, a których jedynym celem i zadaniem jest oświecić nas, pokrzepić na duchu, podnieść moralnie, intelektualnie i gospodarczo.

Czy wielu z nas wie np., że istnieje w Warszawie „Towarzystwo Kresów Wschodnich”, na czele którego stoi niefortunny b. wojewoda poleski p. Stanisław Downarowicz? Ja przynajmniej o tym fakcie dowiedziałem się dopiero niedawno, gdy wpadł mi do rąk Nr. 2—3 (z kwietnia) ilustrowanego dwutygodnika pod takimże tytułem, będącego organem wspomnianego T-wa.

O samem towarzystwie, o jego składzie i działalności pismo żadnych informacji wprowadzić nie podaje, ale można nabrać pewnego pojęcia o jego charakterze z dołączonej do numeru enuncjacji programowej komitetu redakcyjnego, składającego się prócz wzmiankowanego już prezesa, z takich luminarzy jak prof. Zdzisław Ludkiewicz, senator Kamieniecki, senator Roman, b. wojewoda wołyński Mickiewicz i t. d.

Na wstępie dowiadujemy się, że „Kresy Wschodnie jest to organiczna całość nie tylko jako terytorjum, lecz także jako zespół interesów materialnych, intelektualnych, społecznych i moralnych”... Wyznanie bardzo ciekawe, chociaż niezupełnie zrozumiałe, o ile dotyczy owego zespołu interesów intelektualnych i moralnych. Zdaje się, że autorzy przeholowali nieco i na punkcie terytorjalnej całości, bo co mają wspólnego ze sobą Wileńszczyzna i Wołyń, prócz tego, że są położone poza obrębem Polski etnograficznej? W każdym razie oświadczenie o organicznej całości Kresów Wschodnich pozostaje w jaskrawej sprzecz-

ności ze stanowiskiem „naprawiaczy”, którzy utrzymują właśnie przeciwnie, że Kresy Wschodnie nie są niczem innym, jak terenem ekspansji polskiej.

Myliłby się jednakże ten, kto by przypuszczał, że z założenia „organicznej całości” komitet redakcyjny wyciąga jakieś wnioski natury politycznej. Nic podobnego. Całość — całością, a kresy — kresami. Zamiast konkretnych wskazań redakcja zapowiada tylko, że „chce obsłużyć Kresy Wschodnie tak, jak stać ją na to będzie”.

Na co zaś stać redakcję, reprezentowaną przez niejakiego p. Michała Gonerko, o tem można się przekonać przejrzawszy treść zeszytu. Artykuł wstępny pióra samego redaktora dość mętnie wywodzi, że „grzech pierworodny w strachu poczęty przez krótkowzrocznych polityków — stał się grzechem dziejowym Wskrzeszonej Rzeczypospolitej”. Autor ma tu na myśli traktat ryski.

Dużo miejsca następnie zajmują: mowa ministra Zaleskiego o porozumieniu polsko niemieckim, feljton „Co sływać w pow. Ciechanowskim?” (czyżby i ten powiat położony w środku Mazowsza należał do Kresów Wschodnich?), rozmaite wiadomości kronikarskie i notatki, nie mające najmniejszego związku z żadnymi „Kresami”, krótki wywiad, ozdoby dużym portretem z woj. Raczkiewiczem i t. p.

Właściwie „kresowe” sprawy porusza tylko artykuł p. Wojciecha Karpowicza z Mołodowa, który utyskuje, że właściciele ziemscy, przeważnie Polacy i katolicy są zmuszeni tam, gdzie lud jest prawosławny, zaniedbywać święta własnej wiary, gdyż inaczej, obchodząc podwójne święta byłiby narażeni na poważne straty materialne... Domaga się przeto zniesienia świąt prawosławnych w drodze prawodawczej...

Tę tylko bolączkę w życiu „Kresów Wschodnich” dostrzegła redakcja i w jej usunięciu zapewne dopatruje się owego „dążenia do podnoszenia wśród mieszkańców Kresów Wschodnich poczucia solidarności wzajemnej”, na które kładzie nacisk w swej enuncjacji programowej komitet redakcyjny.

Jakich jeszcze „uszczęśliwiaczy” zeszele nam Opatrzność?

Licz.

Wspólna akcja Litwinów i Białorusinów na gruncie kościelnym.

Dn. 4 b. m. odbył się w Wilnie zjazd katolików-Litwinów i Białorusinów, który zgromadził przeszło 100 uczestników.

Po uroczystem nabożeństwie, prezes Tymcz. Kom. Litew. p. K. Staszys dokonał otwarcia zjazdu, komunikując, że przemówienia będą kolejno wygłaszane w jęz. litewskim i białoruskim. Następnie przemawiał o znaczeniu zjazdu dr. Hrabiński (po białorusku) i p. Staszys (po litewsku). Członkiem honorowym prezydium został wybrany dr. Kairiukszitis.

Na wniosek prezydium uchwalono wysłać depezę hołdowniczą do Papieża. Szereg działaczy litewskich i białoruskich powitał zjazd w imieniu różnych organizacyj. Odczytano też depecze gratulacyjne z prowincji. Dalej p. Staszys wygłosił referat o położeniu Litwinów-katolików, zaś p. Peciukiewicz — Białorusinów-katolików.

Następnie wygłoszono szereg sprawozdań z terenu, w których Litwini skarżyli się głównie na krzywdzące ludność litewską zarządzenia arcybiskupa w pa-

rafjach mieszanych, zaś Białorusini — wskazywali na niebezpieczeństwo rozpowszechniania się sekciarstwa, które cieszy się powodzeniem dzięki temu, że propaganda jest prowadzona w języku rodzimym ludności. Naogół uskarżano się na nieznośną sytuację wyznaniową Litwinów i Białorusinów i wzywano do podjęcia kroków, celem obrony interesów katolickich.

Wreszcie powzięto szereg uchwał, a między innymi postanowiono:

1) zorganizować centralny komitet katolicki, złożony z 3 przedstawicieli Litwinów i 3 przedstawicieli Białorusinów ze Wschodniej Litwy i Zachodniej Białorusi, z prawem kooptacji i siedzibą w Wilnie,

2) domagać się u wyższych władz duchownych katolickich, aby w katolickim duchownym seminarjum wprowadzona została nauka języka litewskiego i białoruskiego, celem odpowiedniego przygotowania księży do duszpasterstwa w parafjach,

3) starać się o to, aby dzieci katolickie litewskie i białoruskie miały w szkołach możliwość słuchania nauki religii w języku ojczystym,

4) dążyć do tego, aby w kościołach, obok liturgicznej łaciny język polski nie był uprzywilejowany specjalnie i narzucany ludności katolickiej białoruskiej i litewskiej,

5) domagać się, by niezwłocznie przywrócono język litewski i białoruski w tych kościołach diecezji wileńskiej, z których w ciągu ostatnich kilku lat był usunięty,

6) wszcząć starania, by księża Litwinów i Białorusini, którzy ucierpieli, broniąc językowych praw ludności, byli z powrotem osadzeni w swych parafjach lub żeby przynajmniej przywrócono im wszystkie prawa i możliwość pracy wśród rodaków.

Do wspomnianego Komitetu centralnego zostali wybrani ze strony litewskiej: pp. J. Kairiukštis, A. Juchniewicz i dr. W. Legiejko oraz ze strony białoruskiej: pp. dr. Hrabiński, Pecukiewicz i Cikota.

Przeгляд prasy żydowskiej.

(Wyjaśnienia, które nic nie wyjaśniły. — Żydowskie i hebrajskie audycje w radjo wileńskim. — Akademicka dyskusja).

Nowopowstały w Wilnie żydowski „Klub Myśli Państwowej” przystąpił do wydawania swego organu w dwóch językach (w polskim i żydowskim) pod nazwą „Nasza Myśl” (Unzer Gedank).

Część żydowska jest obszerniejsza od części polskiej i zawiera dział polemiczny, którego niema w tekście polskim. W dziale tym pismo się rozprawa ze swoimi przeciwnikami, którzy w prasie żydowskiej zaatakowali Klub i jego działaczy (o tych atakach pisaliśmy w jednym z poprzednich numerów).

Pismo odpiera zarzuty pod adresem organizatorów Klubu, że są asymilatorami i że działają w kierunku wynarodowienia Żydów miejscowych. Powołuje się pismo na deklarację ideową Klubu, zawierającą program zasadniczy tego nowego ugrupowania, który głosi, że sprawa żydowska może być rozwiązana tylko wtedy, gdy Żydzi pójdą razem z demokracją polską i staną wyraźnie na gruncie państwowości polskiej, nie ograniczając się jedynie do biernego lojalizmu, ale wykazując czynny patriotyzm państwowi.

Godzi się przy tej sposobności zwrócić uwagę, że żadnych konkretnych wskazań w kwestji żydow-

skiej deklaracja ta nie podaje, poprzestając na samych ogólnikach.

Pismo zapowiada, że następny numer poświęcony już będzie specjalnie kwestji narodowościowej w Polsce wogóle a kwestji żydowskiej w szczególności. Więc czekamy.

* * *

Po wielu staraniach i licznych artykułach w miejscowej prasie żydowskiej kierownictwo radja wileńskiego zdobyło się na audycje żydowskie. Prasa żydowska wyraża swe niezadowolenie z powodu nieodpowiedniego doboru programu. Zarzuca się kierownictwu, że zamiast świeckiej muzyki żydowskiej, jak to uczyniła dyrekcja radja warszawskiego, dano wyłącznie utwory religijno hebrajskie, które i dawniej można było słyszeć co sobotę z płyt gramofonowych.

* * *

Jakkolwiek nie wiadomo jeszcze, kiedy odbędą się wybory do nowego sejmu i czy wogóle będziemy mieli wybory tak prędko, w prasie żydowskiej szeroko omawiana jest taktyka Żydów przy nowych wyborach sejmowych. Dyskusja ta obraca się dokoła tematu, z kim przy wyborach należy się zblokować.

Poseł Grynbaum broni koncepcji dawnego bloku mniejszości narodowych, jakkolwiek sam nie bardzo wierzy w możliwość ponownej jego realizacji.

„Wątpię czy się uda przy przyszłych wyborach jeszcze raz utworzyć blok mniejszości narodowych, jakkolwiek jestem zdania, że przy obecnej organizacji wyborczej Żydzi mogą sobie zabezpieczyć należną im reprezentację tylko przez takiż blok. Nie wierzę, by przy obecnej konjunkturze blok narodowościowy dał się utworzyć zarówno ze względu na Żydów, jak i ze względu na pozostałych kontrahentów”.

P. Stupnicki wypowiada się w „Momencie” za żydowski blok narodowy, do którego by weszły wszystkie ugrupowania żydowskie.

„Przy wyborach do drugiego sejmu wysunięto hasło jedności żydowskiej i utworzono blok ze wszystkich żydowskich ugrupowań za wyjątkiem jedynie folkistów. Rezultatem był ogromny sukces w postaci 34 mandatów żydowskich. Ale zatarg z małym ugrupowaniem folkistycznym przyprowadził Żydów o utratę 5 pewnych mandatów. Przy następnych wyborach zmieniono front: usunięto z bloku ortodoksów i przyjęto do spółki demokratów—ludowców. Sukces był taki, że do sejmu weszło aż 15 posłów żydowskich, przyczem znaczną ich część zawdzięczać należy Małopolsce, gdzie Żydzi szli do wyborów sami bez mniejszości narodowych i nie stracili ani jednego mandatu. Obecnie p. Grynbaum proponuje usunąć z bloku jeszcze inne stronnictwa a w rezultacie nastąpi znów „zwycięstwo” w postaci 10 mandatów żydowskich, z których 9 będzie z Małopolski.

„Trzeba — kończy autor, — konsolidować wszystkie stronnictwa żydowskie. Tylko taki blok, blok narodowy żydowski może zapewnić nam zwycięstwo”.

Redaktor białostockiego „Dos Naje Leben” p. Kapłan nie wierzy w możliwość żydowskiego bloku narodowego.

„Blok żydowski, do którego by weszły wszystkie stronnictwa żydowskie jest nie do pomyślenia. Nie jest możliwym, by postępowcy żydowscy szli razem z żydowską reakcją i odwrotnie: ortodoksi nie pójdą z folkistami. Ortodoksi prawdopodobnie nie zechcą się zblokować nawet z Mizrochistami. Pozostaje więc jako jedyne wyjście zblokowanie się stronnictw ideowo bliższych. Takie zjednoczone stronnictwa żydowskie mogą pertraktować też z ugrupowaniami mniejszościowemi w sprawie utworzenia ogólnego bloku mniejszościowego”.

Tak więc dyskusja sprowadza się właściwie do dylematu: blok mniejszości narodowych czy też tyl-

ko zjednoczenie narodowe żydowskie. Ponieważ zaś i jedno i drugie wyjście wydają się mocno problematycznymi, obecna polemika — zresztą mocno przedwczesna — ma charakter całkowicie akademicki.

J. H.

KRONIKA.

Czasy przedwojenne i obecne. W „Kurjerze Wileńskim” czytamy, że obliczenia dokonane przez Izbę Przemysłowo-Handlową w Wilnie wykazały, że w r. 1928/29 ludność terytorjum czterech województw: wileńskiego, nowogródzkiego, poleskiego i białostockiego wpłaciła samych tylko podatków bezpośrednich na sumę okółko 57,9 milionów zł., wobec 20,8 milionów zł., wpłaconych przez ludność tegoż terytorjum w r. 1911. W ten sposób obciążenie podatkami bezpośrednimi w r. 1928/29 stanowiło 279% obciążenia z r. 1911.

Oto czemu odczuwa się powszechną tęsknotę u nas do czasów przedwojennych!

Czego pragnie ludność? Nad tem pytaniem w tysiemy artykule na szpaltach „Słowa” zastanawia się p. St. Wańkowicz i po długich rozważaniach na temat szkodliwości demokratycznego ustroju dochodzi do wniosku, że „ludność pragnie żyć spokojnie i pracować z korzyścią dla siebie t. j. mieć dobrobyt i jego zabezpieczenie, ludność nie chce rządzić — chce być rozumnie i sprawiedliwie rządzoną”. Cóż za nadzwyczajne odkrycie! Ludność nigdzie sama nie rządzi. Rządzą wszędzie rządy — albo parlamentarne albo jedynowładcze lub oligarchiczne. P. Wańkowicz jest zwolennikiem oświeconego absolutyzmu, ale oczywiście pod warunkiem, że „und der König absolut, wenn er unseren Willen tut”.

Każdy, rzecz prosta, pragnie rządów rozumnych i sprawiedliwych, tylko jak rozumieć te ogólnikowe określenia? Dla p. Wańkowicza reforma rolna jest ustawą głęboko niemoralną, a chłopci z Peteszy i okolicznych wiosek napewno uważają za wielką krzywdę dla siebie, że wyłączenie wielkiej własności nie jest stosowane z taką skrupulatnością, na jaką mieli prawo rachować wszyscy bezrolni i małorolni, gdy podczas wyborów do Sejmu Wileńskiego z r. 1922 olbrzymie plakaty głosiły, iż w Polsce jest 163 000 hektarów ziemi do rozparcelowania..

Zupełnie więc czego innego pragnie p. Wańkowicz, a czego innego znów jego sąsiad na dwóch hektarach, jeżeli chodzi o sprawy materialne. Ale czyż poza dobrobytem ludność naszą nie obchodzą żadne inne kwestje polityczne i kulturalne? Jeżeli tak sądzi p. Wańkowicz, świadczy to niepoehlebnie o jego horyzoncie umysłowym. Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że ludzie, wyznający wybitnie klasowy światopogląd, zarówno obszarnicy i kapitaliści, jak obrońcy interesów robotników, w każdym zagadnieniu widzą jedynie stronę ekonomiczną..

Nowa Haponjada. Mimo całej nienawiści do carskiej Rosji, której stałe i jaskrawe manifestowanie uchodzi w odrodzonej Polsce za dowód „dobrego tonu” pod względem politycznym, niejednen zdecydowany państwowiec polski chętnie naśladuje metody i pomysły wzgardzonej biurokracji rosyjskiej.

Czyż nie jest np. żywcem zapożyczony z dziejów „ochrony” pomysł stworzenia socjalistów rządowych? Czyż nie jest wzorowaną na Haponie akcja ex-posta dra Brokowskiego, który w dniu 1 maja zorganizował akademję i pochód przez ulice Wilna pod hasłem święta robotniczego w oryginalnej „sanacyjnej” interpretacji?

Mniejsza o to, że zarówno pochód, jak akademja zgromadziły szczupłą garstkę uczestników. Impreza na razie się nie udała, ale samą myśl opanowania ruchu robotniczego i skierowania go w łozysko prądu pro-rządowego możnaby uważać za genialną, gdyby była oryginalną i gdyby doświadczenie z Haponem nie wykazało bezcelowości i ryzykowności tego rodzaju przedsięwzięć.

Okrzyki „Niech żyje 1 maja” i „Niech żyje Marszałek Józef Piłsudski”, figurujące obok siebie na odezwie i przeplatające się z sobą w przemówieniach aranżerów tej niesmacznej szopki, mocno przypominają hasła wiernopoddane, jakie widniały na sztandarach w tragicznym pochodzie rzesz robotniczych, prowadzonych przez niepczytalnego czy też przewrotnego mnicha w d. 9 stycznia 1905 r. przed Pałac Zimowy w Petersburgu.

Ale jeżeli dr. Brokowski wziął na siebie odegranie roli Hapona, to któż jest współczesnym polskim Zubatowem?

Najciekawszym zaś szczegółem całej tej nieudanej imprezy jest niewątpliwie udział w niej p. St. Mackiewiczza, redaktora konserwatywnego „Słowa”, który wygłosił na akademji przemówienie wykazując elokwentnie znaczenie dnia 1 maja, jako święta pracy i podnosząc zasługi marszałka Piłsudskiego, jako obrońcy interesów robotniczych. Byliśmy bardzo ciekawi, jak p. Cat uzasadni swoje wystąpienie pierwszomajowe w organie szlachecko-ziemiańskim, lecz nie znaleźliśmy o niem żadnej wzmianki nawet i słusznie. Nie trzeba gorszyć ma-luczkih..

Kurja Metropolitalna w roli rusyfikatora. Trafili nam niedawno do rąk okólnik wileńskiej Kurji Metropolitalnej do księży proboszczów, zalecający im rozpowszechnianie wśród ludności, nieznaną języka polskiego, wydanej niedawno przez Kurję broszury p. t. „Dlaczego domagają się katolicy zwrotu kościołów przerobionych na cerkwie?” w przekładzie na język rosyjski. Ponieważ olbrzymia większość ludności, nierozumiejącej po polsku należy do narodowości białoruskiej, Kurja tą drogą przyczynia się do jej rusyfikacji. Nie po raz to pierwszy zresztą wyższe władze kościelne u nas wykazują wyraźną predylekcję do języka rosyjskiego, gdy chodzi o wybór pomiędzy nim a językiem białoruskim. Jest to stanowisko zajmowane stale i konsekwentnie przez wszystkie żywioty, hołdujące ideologii endeckiej. I gdyby nie było innych dowodów, to ten jeden wystarczyłby w zupełności dla stwierdzenia partyjnego zabarwienia polityki kościelnej w naszym kraju.

We łbie — kielbie. Wśród szeregu odez w pierwszomajowych wyróżnia się swą oryginalną treścią, stylem i ortografią „Odezwa do braci robotników wszystkich wyznań i nacji, zamieszkujących w Rzeczypospolitej Polskiej, a szczególnie na Kresach Wschodnich, w tej liczbie na Wileńszczyźnie”, wydana w Wilnie przez nieznanego szerszemu ogółowi „Emigranta Syberyjskiego”.

Odezwa nosi u góry szumny napis „Dzień 1-go maja jest wielką uroczystością”, i składa się z licznych artykułków i wykrzykników, wśród których „Niech żyje nasz ukochany wódz Józef Piłsudski” powtarza się kilkakrotnie.

Z enuncjacji, zamieszczonych w tej ulotce dowiadujemy się, że dzień 1 maja jest dniem podwójnej uroczystości w Wilnie, a mianowicie: 1) Początek Ma'owego nabożeństwa ku czci Niepokalanej Poczętej Dziewicy Maryi Panny, Matki Bożej, Królowej Nieba i Ziemi, Królowej Polski i Matki Miłosierdzia, co w Ostrej święci (sic!) Eramie w Wilnie oraz 2) Uroczystości św. Jakóba i Filipa, pierwszych apostołów Chrystusowych, pod wezwaniem których mamy kościoł w Wilnie na placu Łukiskim.

Pozatem jednakże odezwa nawołuje robotników, by łączyli się pod sztandarem czerwonym „symbolem walki z wyzyskiem kapitalistów i ludzi niesumiennych, drobkiemców na ludzkiej nędzy po Wielkiej Wojnie Światowej” i zapowiada bezwzględna walkę z duchem bolszewickim, czy to będzie „robotnik, czy też robotnica, czy to będzie urzędnik, czy arystokrata, czy to będzie przedstawiciel Sądownictwa czy Administracji, czy Oficer—Marynarz (?!), rezerwowy lub jego siostra „arystokratka” w jedwabnych pończoszczkach cielistych, z sukienką wyżej kolan, czy też przedstawiciel duchowieństwa tak katolickiego jak i innych wyznań”..

Kończy się zaś ulotka wykrzyknikiem: „Niech żyją wszyscy, którzy współpracują (sic!) z Marszałkiem J. Piłsudskim”.

Ciekawość skąd tacy „emigranci syberyjscy” biorą pieniądze na drukowanie podobnych bredni?

Skutki bujnej imaginacji. „Robotnik” zwraca uwagę na ponury charakter, jaki miał — według urzędowej Polsk. Ag. Teleg. — obchód 3 maja w Wilnie. Korespondent PAT a z Wilna bowiem doniósł, że „dzień 3 maja poruszył do głębi wszystkie warstwy społeczeństwa”.. „Robotnik” zapytuje tedy ironicznie „Czemu aż tak smutno? Nie trzeba się przejmować!”

Nic dziwnego. Podobne lapsusy zdarzają się zwykle tym gorliwym sprawozdawcom, którzy chcą przybrać szarą ubogą rzeczywistość w strojne szaty własnego pomysłu..

Sprostowanie.

Do artykułu „Kij ma dwa końce” w poprzednim numerze wkraól się bład drukarski. Ilość szkół prywatnych T-wa „Ryfas” przed retorsjami wynosiła 86 (a nie 76).

